

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Alkoholizm a kapitalizm

Przeżywamy obecnie zmierzch kapitalizmu na całym świecie, kończący się niebywałą dotąd i nieprzewidzianą jeszcze w skutkach katastrofą bezrobocia. Bezrobocie to, niby olbrzymi pożar, trawi w naszych oczach mienie, siły, zdolności i chęć do pracy milionów ludzi, a my patrzeć się musimy bezradni na to zniszczenie, nie umiając mu zaradzić.

Czem jest ów kapitalizm, który spowodował to straszne zniszczenie? Kapitalizm może być rozpatrywany pod względem prawnym, społecznym i technicznym. Kapitalizm pod względem prawnym oznacza gospodarkę indywidualistyczną, opartą na prywatnej własności i wolnej konkurencji; pod względem społecznym oznacza on przewagę przedsiębiorcy i pracodawcy nad robotnikiem dzięki kapitałowi, wreszcie pod względem technicznym oznacza on produkcję masową, przeważnie fabryczną na wielką skalę z zastosowaniem maszyn.

Kapitalizm tak pojęty jest to sposób produkcji również potrzebny, jak praca indywidualna w rzemiośle — bez kapitału żadne przedsiębiorstwo nie może się należycie rozwinąć, ani wynalazek zrealizować.

Dlaczego więc atakujemy kapitalizm i przypisujemy mu klęskę bezrobocia? Dlatego, że kapitalizm w tej formie, w jakiej jest obecnie, zwyrodniał, stał się szkodliwym i przybrał formę niemiłosiernego wyzysku.

Stało się to przede wszystkim dlatego, że kapitalizm współczesny wyrósł na podstawie wolnej, niczem nie krępującej się konkurencji, gdyż powstał w ustroju liberalnym. Nie przebiegał przeto w środkach, niszcząc przez to nie tylko odbiorców, ale i konkurentów swoich, zwłaszcza tych, którzy liczyli się z sumieniem i przestrzegali prawa. W ten sposób kapitaliści współcześni doszli do takich fortun, że zaczynają być groźni państwu, tworząc t. zw. finansjerę wszechświatową.

Doszli oni do tego w ten sposób, że między kapitalistą a przedsiębiorcą powstało bardzo wielu pośredników w postaci bankierów, spekulantów, i różnego rodzaju aferzystów, którzy żyją z cudzej pracy, handlując papierami wszelkich możliwych przedsiębiorstw. Powstała w XIX wieku na wielką skalę spekulacja papierami na giełdzie, które ludzie kupują nie w celu popierania danego przedsiębiorstwa, ale w celu zysku i to zysku bez pracy, nieraz bardzo znacznego — i w tem leży niemoralność ustroju kapitalistycznego.

Wreszcie kapitaliści aby mieć zbyt swoich towarów, wywołują nieraz w ludziach sztuczne potrzeby za pomocą reklamy, a gdy ludzie, zbiedzeni i wyczerpani tym systemem, nie mają już pieniędzy na dalsze zakupy, kapitaliści udzielają im kredytu konsumpcyjnego, który gubi ich do reszty. Następstwem tego są krachy podobne jak w Stanach Zjednoczonych Pół. Ameryki, gdzie kredyt dosięgał olbrzymiej sumy 200 miliardów dolarów, co spowodowało w końcu upa-

dek kilkunastu tysięcy banków i firm pierwszorzędnych.

Na tych to sztucznych i zabójczych praktykach polega zwyrodnienie dzisiejszego kapitalizmu, które nazwać można programem wolnego wyzysku gospodarczego, opartego na zasadach liberalnej ekonomii społecznej A. Smitha i Ricarda.

Powstaje pytanie, jak przyszło do tak szpetnego zwyrodnienia kapitalizmu? Jest to pytanie tem ciekawsze, że z rozwiązaniem jego ujawni się przyczyna dzisiejszego kryzysu ekonomicznego.

Otóż stwierdzić dziś możemy z całą pewnością, że kapitalizm w formie obecnej, to produkt stopniowego przekształcania się aryjskiego ustroju gospodarczego pod wpływem zasad i obyczajów żydowskich, jak to wykazał A. Doboszyński w swojej ciekawej książce: „Gospodarka narodowa“.

Przyznaje to zresztą najzupełniej żydowski ekonomista Werner Sombart w pracy pt. „Żydzi i życie gospodarcze“, wydanej jeszcze przed wojną. Oto co tam czytamy: „Żydzi umożliwili kapitalizm w jego formie dzisiejszej. Nie byłoby ani współczesnego kapitalizmu, ani kultury współczesnej bez rozproszenia żydów w krajach, leżących na północnej półkuli ziemi. (Przedmowa str. IV i VIII)

Na czem zaś polegał ów wpływ żydowski na współczesną kulturę tłumaczy Sombart w rozdziale VII pt. „Wytwarzanie się kapitalistycznego sposobu myślenia“, gdzie czytamy między innymi: „Walka kupców żydowskich i chrześcijańskich jest walką dwóch poglądów na świat, albo dwóch zasadniczo odmiennych kierunków gospodarczych... „Podług tego (tj. chrześcijańskiego) poglądu środkiem ciężkości interesów gospodarczych jest człowiek, i ta właściwie idea przewodnia panowała nad myślą i czynem. Wszystkie środki, mające na celu umocnienie zjawisk gospodarczych, są skierowane ku jednostce“ (str. 118).

„Niczem nie skrupowane, nieograniczone dążenie do zysków uważane było w ciągu całego tego okresu przez większą część gospodarujących osobników za niedozwolone i niechrześcijańskie“.

„Każda czynność wpływała bezpośrednio z woli Boskiej, a pojęcie woli Boskiej było wrogo usposobione dla mamonistycznego pojmowania rzeczy, a tem samem chrześcijańskie życie zarob-

kowe starej daty było ustawicznie normowane przez względy etycznej natury“ (str. 119).

„Według poglądu żydowskiego“ — czytamy dalej — „sfera działalności jednostki gospodarczej nie powinna być w żadnym kierunku krępowana obiektywnymi przepisami, ani pod względem zakresu zbytu, ani pod względem organizacji zajęć, a jednostka gospodarcza posiada prawo wywalczenia sobie, choćby kosztem innych, tak szerokiej sfery działania, na jaką tylko zdobyć się może. Środki walki leżą właśnie w sferze umysłowej, są nimi: podstęp, chytryść i przebiegłość“.

„W gospodarczej walce konkurencyjnej nie należy liczyć się z innymi względami prócz Kodeksu Kryminalnego i wszystkie zjawiska gospodarcze kształtować jak najbardziej według osobistych pojęć jednostki“ (str. 148-9).

W wyznaniu tem Sombart odstania nam zupełnie karty polityki i gospodarki żydowskiej, a czyni to zaiste z rozbijającą szczerością. Stają tu przeto do walki dwa przeciwne światopoglądy — chrześcijański i żydowski.

W światopoglądzie chrześcijańskim człowiekowi przyświeca cel wyższy zjednoczenia z Bogiem i życie z Nim wieczne po śmierci. Celem jego poczynañ codziennych nie tyle jest zysk, ile dobro jego własne i jego bliźnich. Chrześcijanin pracuje, aby mógł żyć i utrzymać się na odpowiedniej stopie, dlatego też nie uznaje on dochodu bez pracy. Św. Paweł mówi: „Kto nie chce pracować, niech nie je“.

Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa w światopoglądzie żydowskim. Celem głównym człowieka jest tu zysk, każdy ma tu obowiązek dążyć do zdobycia jak największego majątku.

„Żyd“, mówi Sombart — „jako typ prawdziwego kupca, bezwzględnie w interesach handlowych... stawia na pierwszym miejscu, jako cel zabiegów: zysk“ (str. 129). I on uznaje pracę, ale tylko za jeden ze środków, prowadzących do celu, bynajmniej nie jedyny, ani nawet najlepszy do wzbogacenia się — o wiele lepszym środkiem od pracy jest tu lichwa, spekulacja, trust, kartel i monopol“.

„W tej silnej, nie tamowanej względami etycznymi żądzy zysku, — mówi

Sombart — „wyrastają same przez się niektóre zasady i praktyki handlowe, za które tak potępiano żydów. Właściwością żydów... jest nieprzyzwoite przekraczanie granic, zakreślonych przez prawo, albo obyczaj dla różnych zawodów i gałęzi przemysłu“ (Str. 132).

W tem tkwi źródło zwyrodnienia kapitalizmu i dzisiejszego kryzysu. To, co powinno być środkiem — pieniądz — uczyniono celem człowieka na ziemi; pomieszano to pojęcie szczęścia z bogactwem, a bogactwo jednostek z bogactwem całego narodu, dlatego doszliśmy do tego, że mamy dziś w Europie kilaset miliardów i miliony bezrobotnych nędzarzy.

Za to wszystko odpowiedzialni są ci, którzy usunęli z gospodarki światowej etykę chrześcijańską i na jej miejsce wprowadzili światopogląd materialistyczny. Uznanie bogactwa za główny cel życia rozbudza niepohamowaną gorączkę posiadania i oddaje człowieka w niewolę ciała.

W ustroju kapitalistycznym naczelną zasadą, a zarazem siłą motoryczną całej tej olbrzymiej maszyny gospodarczej jest egoizm, gdyż chodzi tu przede wszystkim o zysk osobisty każdego.

Nieuniknionem następstwem tego jest hedonizm, hedonistyczne nastawienie mas, które nie są już zdolne do czynów bezinteresownych i ofiarnych, do porządów idealnych i szlacheckich, do zaparcia się i poświęcenia dla bliźnich, bo żyją dla wygody i przyjemności. Stosunek do życia układa się wtedy na zasadzie kupieckiej kalkulacji, gdyż uwaga każdego skupiona jest przede wszystkim na zysku, na to co można zarobić w danej sytuacji.

Człowiek o światopoglądzie kapitalistycznym wszelkie wartości ludzkie ocenia ze stanowiska korzyści materialnej, to też i pracę ludzką szacuje jako towar, a w robotniku widzi zwierzę juczne albo maszynę. Na takiej właśnie podstawie wyrósł dzisiejszy materializm, a za nim przyszedł upadek sztuki i kultury współczesnej.

Wszystko się dziś sprzedaje i kupuje, nie tylko praca i wolność, ale przekonania polityczne, talenta i uzdolnienia literackie. W okresie zwyrodniałego kapitalizmu pogoń za zyskiem jest zjawiskiem powszechnem i cechą charakterystyczną ludzi, którzy w tej brutalnej pogoni tracą nieraz godność człowieka.

KS. DR. JAN CIEMNIEWSKI.

Skarby Katedry wawelskiej

Stojąca u boku królewskiego zamku na wawelskiem wzgórzu, katedra, była pierwszą w kraju świątynią, którą za swój obowiązek uważał opiekować się i upiększać każdy niemal władca przedzoborowej Polski. Ale nie tylko królom hojnie obdarzali katedrę. Wielką na jej rzecz była również ofiarność duchowieństwa i możnych panów. Nic więc dziwnego, że przez wieki nagromadzono w niej rzadko spotykaną ilość cennych okazów rzeźby, malarstwa, złotnictwa itd. Już po przekro-

czeniu progu świątyni izuczają się one zwiedzającemu niemal na każdym kroku w oczy. Znacznie jednak więcej cennych okazów kryje skarbiec Katedry wawelskiej.

Wchodzi się do niego przez kaplicę św. Małgorzaty, zwaną inaczej Nankierowska, która oddawna służy za zakrystję. Ciekawe, że w tej dzisiejszej zakrystji, odbyła się swego czasu koronacja Władysława Łokietka. W niej również syn tego króla Kazimierz Wielki, brał ślub z Aldoną Gedyminiówną. Do tej kaplicy zakrystji, be-

dziej najstarszą częścią gotyckiej Katedry, dobudował biskup Jan Rzeszowski, w wieku XV, wielką salę również gotycką, z przeznaczeniem na przechowywanie najcenniejszych ruchomości świątyni.

Wejście do skarbcza zdobyły niegdyś pomniki jego założyciela biskupa Jana Rzeszowskiego i biskupa Tomasz Strzepińskiego, które niestety zniszczono w niegrzeszącym zbyt pieczyzmem dla pamiątek przeszłości, wieku XVIII. Sama sala skarbcza zmieniała z biegiem lat swój charakter. Dwa

rzędy okien, jeden nad drugim zdają się wskazywać, że skarbiec podzieleny był niegdyś na salę parterową i piętrową. Do czasów najazdu szwedzkiego przez całe wieki z roku na rok rosły jego skarby. Spisywane inwentarze wykazywały olbrzymie wprost cyfry ornatów, kielichów, monstrancji, krzyżów, relikwiarzy itd. Były czasy w których skarbiec rozporządzał przeszło pięćdziesiątką kosztownych szat liturgicznych (ornaty, kapy, dalmatyki, infuły itd.), około 300 monstrancjami i kielichami, kilkudziesięciu cennymi relikwiami. Jego skrzyńce i szafy kryły poza tym setki innych, złotych i srebrnych przedmiotów, drogiemi kamieniami zdobnych, z których ogromna większość przedstawiała poza tym wielką wartość artystyczną.

Pierwszą tragedią Katedry wawelskiej, jak zresztą i wielu innych, był najazd szwedzki i poprzedzające go wypadki. Nic dziwnego. Pierwsza część panowania Jana Kazimierza, która zakończyła się oderwaniem Ukrainy, przyniosła Polsce nietylko upokorzenie, ale i ruinę gospodarczą. A tu spadło nowe nieszczęście. Ambitny Karol Gustaw szwedzki wypowiedział wojnę. Na obronę kraju trzeba było pieniędzy. O podatkach i innych źródłach państwowego dochodu nie mogło być mowy, sięgnięto więc do skarbców kościelnych. Wśród mas srebra i złota, które z tych źródeł wpłynęły wówczas do mennicy państwowej, nie brakło zasobów skarbcza katedry. Później, gdy przyszli Szwedzi, nie omieszkali skorzystać z okazji i zabrać resztki, pozostałe w skarbcu. Było tego na szczęście niewiele, gdyż kapituła katedralna, obawiając się rabunku, wywiozła cenniejsze przedmioty poza miasto i dobrze je ukryła. Konfiskaty i rabunki skarbców Katedry wawelskiej powtórzyły się jednak w dalszych następnych. Toteż skarbiec zubożał z czasem, tak, że już nie tak wielką stosunkowo jak dawniej ofiarą wspomóc mógł kościuszkowską insurrekcję. Dzisiaj przechowuje się w nim pieczołowicie resztki przez wieki zebranych bogactw, które choć w przybliżeniu dają wyobrażenie o tem czem przed laty kilkuset był skarbiec Katedry wawelskiej. Obrazują one wszystkie niemal style, za wyjątkiem najstarszego romańskiego.

Do najstarszych zabytków skarbcza należy kryształowy kielich św. Jadwigi śląskiej. Składa się on z dwóch części właściwego kielicha kryształowego, wykonanego w Egipcie, w wieku X i z metalowej gotyckiej podstawy. Kielich zdobi rzeźba wyobrażająca smoka i orla, godła egipskich sultanów Fatymidów. Wśród postaci wyrzeźbionych na podstawie widzimy św. Jadwigę.

Z cennych relikwii, które kryje skarbiec, wymienić należy przede wszystkim głowę patrona Krakowa św. Stanisława Szczepanowskiego, biskupa zamkniętą we wspaniałej, szczytowej puszcze, misternem dziele późno-gotyckiem mistrza krakowskiego Marcinka. Złoto na tę puszkę ofiarowała żona Kazimierza Jagiellończyka Elżbieta i syn jej Jan Olbracht, perły drugi syn kardynał Fryderyk. Poza tym królowa Elżbieta ofiarowała wspaniałe szafy, piękny czarny brylant i wiele drogiej kamieni, zdobionych dzisiaj relikwiarz. Na ścianach tego wspaniałego relikwiarza widzimy 8 scen z życia św. biskupa.

Druga cenna relikwia katedralnego skarbcza jest ręka św. Stanisława, zamknięta w odpowiedniej puszcze, podobnie jak znajdująca się obok ręka św.

Florjana. Tutaj przechowuje się również jeden z Gwoździ Chrystusowych, w relikwiarzu kształtu monstrancji, darze arcybiskupa lwowskiego Stanisława Grochowskiego. Miał tę relikwię ofiarować Władysławowi Jagielle według jednego biskup Ostji kardynał Latinus de Ursini, według innych papiież Marcin V.

Pozatem w skarbcu Katedry wawelskiej znajduje się włócznia św. Maurycego, dar cesarza Ottona III, dla Bolesława Chrobrego, srebrna skrzyneczka z arabskimi napisami, zawierająca ziemię ze Skalki, zbroczoną krwią św. Stanisława wiele innych cennych relikwii.

Z szeregu monstrancji i kielichów wymienić należy szczytową lekką, barokową monstrancję biskupa Gembickiego, dzieło jednego z mistrzów bolońskich, oraz monstrancję po biskupie Oborskim i Dąbskim. Ta ostatnia ozdobiona jest wielką ilością szlachetnych kamieni. Gotycki kielich biskupa Padniewskiego z roku 1572, należy do najstarszych w skarbcu. W roku 1619 ofiarował Katedrze kielich, własnoręcznie wykonany Zygmunt III. Pięknym zabytkiem złotnictwa XVIII stulecia jest kielich biskupa Sołtyka.

Bogato oposażona była niegdyś Katedra wawelska w szaty liturgiczne. Z setek kapiących złotem, srebrem i drogiemi kamieniami ornatów, dalmatyk, kap itd. dochował się ornat Plotra Kmity z Wiśnicza, wojewody krakowskiego, pochodzący z przełomu XV na XVI wiek. Gotycki ten ornat, z czerwonego aksamitu, ozdobiony jest krzy-

żem, który tworzy 8 scen z życia św. Stanisława. Sceny te wyhaftowane zostały wypukło niemi złotem, jedwabniami i perłami, ręką wielkiego artysty, może według wskazówek samego Wita Stwosza. Niewiadomo, by którykolwiek z kościołów na całym globie mógł poszczycić się ornatem o tak wielkiej wartości artystycznej. Toteż zagranicznymi uczeni i znawcy sztuki, przybywający do Polski, nie omijają okazji podziwiania tego unikatku, podobnie jak i wspaniałego relikwiarza z głową św. Stanisława. Piękna jest kapa, w której biskup Trzebicki koronował żonę Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Eleonorę Austriacką. Wykonana ze srebrzystej materji, ozdobiona jest orłem polskim, który dźwiga jabłko królewskie na piersiach, berło zaś i miecz trzyma w szponach. Jest ona dziełem krakowskiego krawca Sebastjana Brozka. Piękny dar ofiarowała Katedrze królowa Jadwiga. Jest to tak zwany racjonal, szata liturgiczna przypominająca paljusz arcybiskupa. Racjonal królowej Jadwigi wyszyty jest w całości perłkami. Wkładają go biskupi krakowscy na ornat w czasie uroczystych Mszy św.

Możnaby wymienić wiele jeszcze ornatów z działy szat liturgicznych, choćby wspaniałe infuły z XIII i późniejszych stuleci, jeden z zachowanych pastorałów itd.

Niebrak w skarbcu pamiątek narodowych. Najważniejsze z nich to chyba insygnja królewskie, ale niestety nie te których używano do koronacji. Są to korona i jabłko używane przez

panujących w czasie nabożeństw. W skarbcu Katedry złożono również tajemniczą koronę, znalezioną w ziemi w okolicach Sandomierza w r. 1912, oraz podobny insygnjów Kazimierza Wielkiego, wykonanych po otwarciu grobu tego króla. Obok nich znalazł się buńczuk turecki z pod Wiednia, płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta, płaszcz ofiarowany przez wojsko polskie Ks. Józefowi Poniatowskiemu i szable tego bohatera.

Wymienione pokrótce skarby Katedry wawelskiej uzupełniają cenne obrazy, oraz cały szereg różnych przedmiotów, o wysokiej nieraz wartości artystycznej, które choć w drobnej części dają wyobrażenie o tem, czem przed wiekami był skarbiec tej katedry. Niestety, jak wspomniano, skarbiec ciężko przechodził chwile. Były momenty, w których poświęcano zasoby jego na potrzeby narodowe. Były jednak i inne smutniejsze, o których przed kilkudziesięciu laty tak pisano: „Z żalem też nam dziś gonić za pomarnowaniami... darami pobożnych królów naszych, zwożonemi z zagranicy, lub żłobionemi i malowanemi w kraju... Niszczono je bez miłosierdzia i uwagi na święte przedmioty co przedstawiały, ani na pamięć drogą, iż korzyli się przed nimi ojcowie nasi“. Ten sam autor pociesza się jednak: „Lecz nie u nas tylko targniono się na zabytki starej sztuki, bo i po innych krajach, a w Niemczech i Francji to samo było“.

Co czytają dzieci w Sowietach?

Pzez długi czas dawne książki dla młodzieży były wyklęte w Bolszewii. Bajki? Ach, pocóż nabijać młodociane głowy zmysleniami? Lepiej przecież faszerować je potrzebnymi praktycznemu komuniście wiadomościami — statystyką, naukami przyrodniczymi, mechaniką, nawet teorią socjalizmu. Nigdy nie można zacząć zbyt wcześnie. Co najwyżej można czasem przybrać to wszystko w formie wierszyków lub opowiadania.

Postępowano tak tem bardziej, że przecież dawne książki dla dzieci miały czasem za tło kraje o ustroju kapitalistycznym, którego nie potępiały, a czasem roily się od królów (bywało nawet — o zgrozo! — od dobrodusznym czy wspaniałomyślnym) księżniczek rycerzy. Czasem też miały podkład religijny i wogóle „idealistyczny“.

Surowo tedy tej literatury wzbrowniono, a fabrykowano na gwałt własną — o przygodach komórek, o maszynach o wojnie z białą reakcją, o Marxie i Leninie.

Aż przed trzema laty pewien literat zrobił niespodziewane odkrycie. Znalazł w pismach tego właśnie ubóstwianego Lenina zdanie następujące: „Dla dziecka nawet kogut nie będzie rzeczywistą istotą, jeżeli nie będzie mówił ludzkim głosem“. A więc trzeba jednak młodemu pokoleniu czegoś, co przemawia do fantazji, co przybliży przy jej pomocy rzeczywistość.

Równocześnie nauczone się już przywiązywać pewną wagę do strony artystycznej utworu literackiego. Przekonano się, że jeżeli nie jest piękny, a przynajmniej zajmujący, nanie nie przyda się najprawowijniejsza tendencja. Przekonano się, że naukowa organizacja pracy autorskiej zawodzi. Przekonano się, że nie można z całą bezwzględnością odrzucać arcydzieł literatury światowej.

Tendencja naturalna została, nie nauczone się wielkiej prawdy że aby działała musi być przynajmniej do pewnego stopnia ukryta, a nie może stać na pierwszym planie. Mając uż-

całe pokolenie, wychowane w ustroju komunistycznym, przestano bać się książek świata kapitalistycznego, lecz wybierano do tłumaczeń takie, które można było odpowiednio komentować czy to jako oskarżenie przeciw niedomaganiom społeczeństw, opartych na własności prywatnej czy też jako zapowiedzi społeczeństwa komunistycznego.

„Podróże Gullivera“ są jadowitą satyrą na całą ludzkość. Cóż łatwiejszego, niż powiedzieć, że stosunki, przeciw którym były wymierzone, naprawił dopiero bolszewizm? „Nędznicy“ Wiktora Hugo przedstawiają niedolę warstw niższych i mają sceny rewolucji. „Pustkowie“ Dickensa uderzało w sady angielskie — można było wyznać je jako akt oskarżenia przeciw wymiarowi sprawiedliwości w burżuazyjnych państwach. Opowieści Juliusza Verne napisane były ku chwale nauk ścisłych, a gdzie większe ubóstwienie tych nauk niż w materialistycznej Bolszewii? Jack London skończył jako komuniści, ale zawsze malował stosunki amerykańskie ujemnie i piętnował wyzysk i ucisk ras kolorowych przez białą. Wszystkie te książki stały się teraz w przekładach ulubioną lekturą młodzieży sowieckiej.

Trzeba zresztą dodać dla sprawiedliwości, że w wielu wypadkach rozstrzygnęły poprostu walory artystyczne. Tym sposobem zyskały prawo obywatelstwa „Przygody Hucka“ i „Przygody Toma Sawyer“ Mark Twaina. „Księgi dżungli“ Kiplinga, „Opowieści z Szekspira“ Karola Lamb'a. Sowieccy krytycy uznali wysoki poziom bajek Andersena i Grimma, więc i te ulaskawiono.

Lecz młodzież sowiecka niechętnie je czyta. Bolszewizm zabił wiarę w duchy i czary, dzieci odczuwają historje o nich jako kłamstwo. Pragną czegoś, co opiera się na rzeczywistości. Maksym Gorkij uciekł się do ankiety, aby ustalić, czego młode pokolenie pragnie, i rozesał odpowiednie kwestjonariusze. Odpowiedzi były charakterystyczne.

Jakiś chłopak napisał, że chętnie czytałby „o dzikim i złym tygrysie, o tajemniczych konstelacjach na niebie, o krajach podbiegunowych, o pustyniach Azji Środkowej, o przygodach sowieckich pionierów (tj. skautów) w obcych krajach, o niedoli bezdomnych dzieci“.

„Chciałabym czytać“ — pisała znów dziewczynka — „dobrą historję o bykach, o życiu w miastach, o wilkach, podobałyby mi się wiersze o reniferach“.

Żądano również książek o piramidach egipskich (w szkole słyszą dzieci dużo, wśród jakich cierpień „proletariatu“ je budowano), o żeglarzach fenickich, o uczonych średnich wieków, szczególnie o tych, których spaliła Inkwizycja (to znowu reminiscencja ze szkoły), o bohaterach rosyjskich wojen domowych, o powstaniu ziemi, o lasach, a nadewszystko o zwierzętach (pytanie, czy to nie była reakcja na kult maszyny)...

Toteż na konferencji autorów sowieckich w Moskwie w sierpniu zeszłego roku znany poeta, piszący dla dzieci i krytyk Marszak tak mówił w swym referacie: „Słowo artystyczne musi tętnić nietylko w opowieściach o istotach ludzkich. Musi mówić o obcych narodach, o zwierzętach, a także o historii rozwoju nauk“. Rozprawę Marszaka wydrukowano w całym szeregu czasopism na honorowym miejscu.

Z tem wszystkim jakoś oryginalnych książek dla dzieci jest jeszcze wcale mało. Natomiast niestłuchane wzrosła ilość. Za czasów carów nakład obejmował 4.000, 5.000, 6.000 egzemplarzy. Dziś liczy się na setki tysięcy. Zeszłego lata Bruck zajął przysłań z Moskwy pół miliona egzemplarzy książki z dziecinnymi wierszami wspomnianego powyżej Marszaka a inny literat piszący dla młodzieży, Czirkowski (który dobrze znany był przed rewolucją) tak jest popularny, że jedna z jego książek wyszła niedawno w 18 wydaniu i w 250 tysiącach egzemplarzy.

Dżdżysta ziemia

Ktokolwiek jedzie w stronę Wilna i z okien wagonu śledzi przesuujące się krajobrazy, mimowoli zadaje sobie pytanie, skąd pochodzi i co oznacza nazwa krajiny tak smutnej, a tak milej zarazem, do której łgnie chętnie i serce i dusza. I niekażdy mieszkaniec tej krajiny lasów i wód wyjaśni nam tę zagadkę, mimo tego, że wystarczy zajrzeć do słownika litewskiego, by znaleźć rozwiązanie.

W mowie litewskiej słowo „litos“ oznacza deszcz. Ziemia zaś, leżące nad Niemnem i Wilją obfitują w wody, w liczne rzeki, jeziora i bagna, które sprawiają, że te północne kresy Polski są mokre i mgliste, z powodu czego lud z dawien dawna nazwał je ziemią dżdżystą, po litewsku „letuwa žeme“.

Dziwnie przemawia do duszy ta krajina smutna, ale przepiękna, jej puszcze, jeziora i łąki, jej bagna i moczary i jej lud, tak ściśle związany z przyrodą i z tradycją staropolską. Kraj ten bowiem od wieków zaludniły liczne rzesze szlachty i włościan, pochodzące z każdego zakątka Polski i zagospodarowały go, nie zmieniając jego szaty i nie burząc starożytnego jego piękna.

Na Litwie spotkać się jeszcze można z myśliwym, bartnikiem, rybakiem i pasterzem, z tem wszystkim, co nam tak pięknie opisuje w swych powieściach Weissenhof i Rodziewiczówna. Ziemia bowiem nadniemeńska ułatwia jeszcze dzisiaj pracę w pierwotnych zawodach. Rolnik litewski walczył musi na każdym kroku z wodą i zimnem, z borem, z chwastami i jałowym piaskiem, a przede wszystkim z nieustępliwymi wrzozowiskami, które trudniej tępić, jak starodrzewia czarnych lasów, jak gęste podszycia paszcz a ta plaga rolnika raduje jedynie leśne pszczoły, karmiące się słodyczą niepozornego wrzosu.

Natomiast w kraju tym, na oko tak poważnym, podobnym do zachmurzonego nieba, pokrytym często mgłą, a jednak niebawale miłym, wdzięcznym i kochanym, rodziły się zawsze i utrzymywały do dnia dzisiejszego i me zawody, bliskie przyrodzie i jak ona proste, patriarchalne i bogate i różnobarwne.

Ziemia nad Niemnem i Wilją jest bowiem związkiem mrówki i pszczoły, głuszcza, jelenia, dzika i bobra, sosny; grabu i dębu z człowiekiem, i to związek serdeczny i szczerzy, który nie ma wzajemnych tajemnic, radzi sobie wzajemnie w biedzie, nasyci, napoi i okryje, tak; że wszystko żyje tam ubogo, ale swobodnie i niezwykle bujnie, jak nigdzie na świecie.

A całemu temu życiu towarzyszy stale zapach żywicy z domieszką odoru palącej się smółki i to w różnych odzieniach zależnie, czy wydają ją jałowce, czy zióło cenne, mrowisko lub palące się luczywo. I w takiej to atmosferze pracuje dzisiaj jeszcze na tej ziemi myśliwy i pasiecznik, rybak i pasterz z tą różnicą, że o ile dawniej brał mało ziemi pod uprawę, to dzisiaj rozszerzył znacznie swe gospodarstwo, wpisał się na stałe w poczet rolników i jak może walczy z jałową glebą, użyźnia piaski, osusza bagna, karczkuje lasy, nie zapominając o tem, że tak jak jego dziadowie musi również poznać rybołówstwo i myślistwo hodować bydło i śledzić pszczoły w lesie.

Tam też, gdzie zachowały się jeszcze stare lasy i wody, gdzie żyje jeszcze tradycja i stary obyczaj, nauczyć się można jeszcze odróżniać sośninę od

choiny, lasy sosnowe od puszczy borów, które rodzą się na borowinie, na łąkach borówek. Taki bór jest głuchy, gdy u spodu jest gęsty i mocno podszyty, ale z czasem staje się rozmowny, gdy się u spodu oczyści, drzewo odsadzi się od ziemi i spojry ku górze. Po takim lesie, gdy się go wyrąbie, pozostaje ziemia czerwona, urodzajna, dobra pod zboża i ogrodowinę, pociecha dla rolnika. Natomiast po sośninie pozostaje żywy piasek, jałowy, rzucający się w oczy, gdy go wiatr rozgania. Ale taki las sosnowy jest towarowy, bo daje drzewo, z którego sporządzić można stół i skrzypce, krokwie i belki, a gdy pień jest prosty, toczony a daleko na wierzchu uwieczniony gałęziami, to zbudujesz z niego kościół i dwór, maszty dla okrętów i wszystko, cokolwiek człowiek zapagnie.

Lud tamtejszy umie rozróżnić i określić różne typy drzew szpilkowych i liściastych i tak dla sosen, jak dla dębów posiada różne nazwy stosownie do war-

tości i właściwości drzewa. Język też tego ludu jest wielce bogaty i nawet wiedza przyrodnicza mogłaby wiele korzystać, poznając tajemnice tego ludu i jego określenia.

Do dżdżystej krajiny litewskiej podobną jest Białowieża, biały las, który w ten sposób nazwali nasi ojcowie, gdyż dla nich słowo „biały“ oznaczało najwyższą cnotę człowieka, a mianowicie czystą, dobrą i acziwą duszę ludzką. Białowieża, bogata jeszcze w bory, puszcze i lasy, w moczary i bagna, zachowała również wiele zwyczajów i zawodów starodanych mimo tego, że w czasie wielkiej wojny tak na Litwie, jak w Białowieży niszczone celowo i rabunkowo tamtejsze drzewostany i zwierzostany, pozostawiając jałowe piaski, kłopot dla rolnika.

A jednak krajiny te są piękne i jeszcze przemawiają do duszy polskiej. Niestety Polacy znają lepiej (z powieści) prerje amerykańskie, gaje na Rewierze, wiedeński prater lub paryskie parki,

piaski egipskie albo brzagi Madery, aniżeli własne, przepiękne krajiny, tak woniące i tak zdrowe dla duszy i ciała, które kocha tylko polski rolnik, mieszkaniec starego, pochylonego dworku lub chaty drewnianej, zbudowanej na skraju, lub w głębi puszczy i on tylko okazuje się prawdziwie wiernym dzieckiem najpiękniejszego zakątka ziemi w Europie.

I dziwić się wielce należy, że tak w zimie, jak w lecie wszystkie drogi polskie na południe i zachód pełne są młodzieży i starszych, urządzających wycieczki, tylko drogi prowadzące na wschód do Białowieży i na Litwę są zwykle ciche i bezлюдne i nie ożywiają ich gwar kształcących się serc polskich. A przecież każdy Polak przepracowany i przewrażliwiony mógłby znaleźć tam wśród polskich sosen i dębów prawdziwy spoczynek i ukojenie, a może ta polska ziemia, bór i jezioro, poważny szum puszczy i tajemna mowa przyrody przemówiłaby również do sumienia dzisiejszych Polaków i zrozumiełby zdradzieckie szmery innego lasu, pełnego niebezpieczeństw i groźby. D. J. S.

Jeszcze o literaturze łowieckiej

Mój artykuł p. t. „Oszczepem, strzelbą i piórem“ wywołał żywy oddźwięk wśród braci myśliwych, uprawiających z równem zamiłowaniem sport łowiecki, jak i... pisarski. Dostałem kilka listów i kilkanaście telefonów z reklamacjami, żem w spisie „piszących myśliwych“ kogoś tam nie wymienił.

Ponieważ jednocześnie i sam zauważyłem pewne braki i niedokładności w moim artykule, więc spieszę je uzupełnić. Z dawniejszych tedy pisarzy łowieckich wymienić jeszcze należy Cygańskiego, autora „Myślistwa ptasiego“ (Wiek 17-ty). Piękne opisy łowieckie dają nam poeci Syrokomla, Wincenty Pol (Hetmański Pacholę) i Lenartowicz. Ten ostatni pisze o Kurpiach słynnych strzelcach:

„Szumi bór, szumi gaj
Szumi gałazeczka
Wolny kraj, leśny kraj,
Środkiem płynie rzeczka.
Kurpik w nim, poza pnem

Ze strzelbą się sadi,
Kulką w lot nocą, dniem,
Dzikie bestje gładzi.

W drugiej połowie ub. stulecia zastąpił przedewszystkiem Kazimierz Wodzicki, słynny przyrodnik, znakomity myśliwy i utalentowany a bardzo płodny pisarz. W literaturze myśliwskiej i naukowej zajmuje on pierwszorzędną miejsce. Ogólnie znane i dziś jeszcze czytane są jego „Zapiski ornitologiczne“. Jest również autorem „Wspomnień z życia łowieckiego“, w których tak charakteryzuje dobrego myśliwego:

„Myśliwy w łowach nie zadowala się zwykłym mordem wystarczającym dla kłusownika. Tylko trudny strzał jest pięknym strzałem, tylko karkołomna pogoń warta trudu. Dla myśliwego knieja, step lub moczary — są światem całym, nie dlatego bynajmniej, że by pragnął łupów — oczekiwał chwili, w której na wido. i ujrzy nie tylko zabitego, ale i upieczonego zwierza, lecz dlatego, że ocenia wybornie czary

dzikiej natury i że napawa się pięknem, jakie umie dojrzeć na każdym kroku i w każdej porze dnia albo lata“.

Pamiętać też trzeba, że jedno z najwspanialszych arcydzieł literatury polskiej, powieść Żeromskiego „Popioły“, zaczyna się od słów: „Ogary poszły w las“. Poczem następuje prześlizny opis knieji i polowania.

Wreszcie pośród współczesnych nemirodów — literatów wymienić jeszcze poprzednio zapomniałem Krzywoszewskiego (zawodowego i znanego literata, który również po mistrzowsku włada strzelbą; opisując następnie swe przeżycia łowieckie), Zaborowskiego (autora przebitego „Serca knieji“), Józefa Potockiego i Jerzego Wodzickiego (obu autorów wspomnień z polowań egzotycznych), Ziembickiego, Mniszka, Wł. Garapicha (seniora) i wielu jeszcze innych, których wymienić nie mogę dla braku miejsca.

Niech mi zechcą to łaskawie wybaczyć. H. L.

Z życia kulturalnego Węgier

Reformy ustawowe. — Precz z gorsząca sensacją! — Ograniczenie prawa tłumaczeń. — Rozkwit dziennikarstwa. — Antologia poezji chłopskiej. — Chłopscy artyści plastycy.

Czękiem położeniem literatów węgierskich zajęła się Komisja Kulturalna miasta Budapesztu i opracowała obszerny projekt reform, które mają ulżyć biedującemu dziś pokoleniu Apollina. Nosi on piętno tak powszechnej dziś, a tak niesympatycznej etatyzacji wszystkiego, z drugiej strony jednak zawiera szereg trafnych pomysłów.

A więc stworzony będzie rodzaj Izby literackiej o dość obszernych uprawnieniach oraz fundusz zapomogowy. Nastąpi reforma ustawy o prawach autorskich, między innymi spodziewa się Komisja zapobiec wyzyskowi przez oznaczenie minimalnej wysokości honorarium za wiersz i za arkusz.

W szczególną opiekę chcą Węgrzy wziąć twórczość rodzimą. Każdy wydawca, drukujący książki w obcych językach, czy tłumaczone będzie miał obowiązek dodać do nich corocznie pewną procentowo oznaczoną ilość utworów oryginalnych. Gorąco przykładną można ograniczeniom i trudnościom, jakie postanowiono umyślnie

stworzyć groszowym wydawnictwom sensacyjnym.

Zajęto się i przekładami, rezerwując je dla literatów zawodowych, należących do pewnych zrzeszeń. Zdaje się jednak, że w tym wypadku dokładny egzamin z języka ojczystego i dotyczącego języka obcego byłby bardziej pożądanym.

W roku zeszłym cyfra książek, wydanych na Węgrzech, wynosiła 2563 i była nieco mniejsza niż w latach poprzednich. Na literaturę piękną przypadało z niej niecałe 700 pozycji. Węgry utrzymały swoje czternaste miejsce co do liczebności wychodzących książek.

Bardzo ciekawie przedstawia się statystyka tłumaczeń. Na pierwszym miejscu stoi tu Edgar Wallace, ale po nim idą... Goethe, Wergili, Biblia i Homer.

Gdy liczba książek maleje, liczba gazet stale wzrasta. Noworocznik prasowy podaje i ją na 1500 dzienników, tygodników i innych wydawnictw periodycznych. Wedle gustu ludności z r. 1930 ma w samym Budapeszcie mieszkać 1141 dziennikarzy. Ponieważ jednak do

Związku pensyjnego należy ich tylko ok. 500, można przypuszczać, że różni ludzie, uprawiający inne zajęcia (także nieokreślone) podszyciają się chętnie pod nazwę dziennikarza.

Znany poeta chłopski János Baliut planuje wydanie antologii poezji „wieśniaków, robotników rolnych, leśniczych i leśnych oraz rybaków“. Określenie jest wzięte z cyrkularza, jaki rozastał. Przedsięwzięcie badzi zainteresowanie w kołach literackich.

Wógóle zwrócono w ostatnich czasach uwagę na twórczość artystyczną wsi, węgierskiej. Na jesiennej wystawie w Salonie sztuki budapeszteńskim roku zeszłego cieszyły się dużym powodzeniem obrazy Piotra Benedeka, gospodarza wiejskiego, Józefa Aidoza, szewca, i Janosza Negyeremy'ego, pasterza z zawodu, a rzeźby i w drzewie i biusty, wykonane przez Antala Markowicza, wieśniaka, który liczy dziś 62 lat życia, zyskały bardzo pochlebna opinię krytyków. J. S.

O. Górkowe historie i brewerje o Skrzetuskim, bohaterze zbaraskim

Nieposkromiony w swych zapędach „odbronzowiacza” dr. O. Górka w głosnej swej broszurze „Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna” zajmuje się obszerniej również i postacią Skrzetuskiego, tego rycerza bez skazy, który całe swe życie poświęcił ofiarnej służbie dla Ojczyzny.

Podaje o nim wręcz rewelacyjne informacje, streszczając się w tem, że Skrzetuski „nie tylko nie był Polakiem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wogóle nie mógł nawet być Polakiem”.

A czemże był, wedle zdania dr. Górki, opartego rzekomo na „materjałach i danych historycznych”? Oto — Rusinem, schizmatykiem, towarzyszem chorągwi kozackiej u Firleja...

Dziś, — po paru miesiącach polemiki i dyskusji, jaka rozwinęła się na tle tej broszury, świat naukowy ma już wyrobione zdanie i sąd o „rewelacjach” dr. Górki.

Tem niemniej dobrze się stało, że i w kwestji pochodzenia, narodowości i wyznania bohatera zbaraskiego zabrał głos zasłużony badacz i doskonały znawca tej epoki, dr. Zygmunt Lasocki, dając w wydanej świeżo broszurce¹⁾ ciętą a należytą odprawę niefortunnemu odbronzowiaczowi.

Jedynym źródłem, na podstawie którego dr. Górka robi Skrzetuskiego Rusinem i schizmatykiem, jest relacja nuncjusza de Torres z daty 14 sierpnia 1694. Relacja ta, oparta na podstawie udzielonych nuncjuszowi informacji (niewiadomo, od kogo pochodzących) mówi o przybyciu do obozu królewskiego p. Skrzetusowskiego, Rusina, schizmatyka, który zapomocą „przemyslanego manewru” zdołał wydostać się z Zbaraża.

Źródło to dość wątpliwej wartości. Nuncjusz bowiem, jakkolwiek życzliwie dla Polaków usposobiony, niezbyt trafnie orjentował się w stosunkach polskich, czego dowodem liczne pomyłki i nawet „przeróbki” w jego raportach. Można przyjąć, że informator jego, pisząc o Skrzetuskim, podał, iż należał on do chorągwi kozackiej, a nuncjusz drogą dedukcji doszedł do wniosku, iż był on Kozakiem, a więc eo ipso Rusinem i schizmatykiem.

Przypuszczenie tem bardziej prawdopodobne, ile że i sam i dr. Górka w wywodach swych poszedł tą samą drogą — z gruntu błędnego — rozumowania.

Tu znów oparł się na liście Samuela Kuszewicza, sekretarza J. K. M., który mówi o jakimś Skrzetuskim, towarzyszu z pod chorągwi pana Gdeszyńskiego. Gdy zaś w kilku pracach historycznych chorągiew ta wymieniana jest jako „kozacka”, — stąd prosty wniosek, że i Skrzetuski musiał być Kozakiem.

Rozumowanie dość uproszczone, niegodne historyka, za jakiego dr. Górka pragnie uchodzić. Wystarczyło bowiem zajrzeć do prac historycznych Kukiela, Korzona, czy Gembarzewskiego, aby się dowiedzieć, że w wieku XVII polska chorągiew kozacka znaczyła toż samo co „chorągiew pancerna”, — że w tym czasie Kozacy nie mieli wogóle „chorągwi” lecz pułki i sotnie.

Z powyższego widać, na jak kruchych podstawach oparte są „rewelacje” dr. Górki i jak krytycznie trzeba się do nich odnosić.

Przyjrzyjmy się teraz sylwetce Skrzetuskiego, skreślonej przez dra Lasockiego w jego broszurze, z oparciem o pewne i autentyczne źródła.

Oto już we wrześniu 1649, a więc niedługo w parę tygodni po bohaterskiej wyprawie z oblężonej Zbaraża, pojawia się wierszowany opis oblężenia Zbaraża. Autorem jest Białobocki, sekretarz J. K. M.

Opisuje on przekradzenie się Skrzetuskiego wśród grożących mu niebezpieczeństw przez szeregi wrogów i przybycie do obozu królewskiego, gdzie

oddał pisanie Panu y powiedział co tylko naszym potrzebnego wiedział. Taką odwagą Szlachcica Polskiego w pamiętną sławę Domu Skrzetuskiego Król Jego Mość był wielce ucieszony.

A więc — szlachcic polski, co zresztą potwierdzają zgodne liczne inne relacje. Nigdzie jednak nie podano imienia bohatera. Jedynie Rudawski w pracy swej pisze

„strenuus miles, Joannes Skrzetuski”, co prawdopodobnie wprowadziło w błąd Sienkiewicza. Błąd to zresztą drobny, nie istotny.

Faktycznie bowiem nasz bohater miał na imię Mikołaj. Pochodził z Poznańskiego. Ojciec jego, Jan, był właścicielem majątku Rożnów (powiat poznański). Ojca stracił we wczesnej młodości, gdy zaś matka wyszła powtórnie za mąż, młody Mikołaj wędruje na wschód w poszukiwaniu chleba i przygód wojennych.

Miał tam zresztą i krewnych: Maciej Skrzetuski jest rotmistrzem piechoty J. K. M. na zamku w Kaniowie. Brat stryjeczny naszego bohatera, Jan, gospodaruje na swym folwarku w Dołobyczowie w pow. bełzkim.

Tam też prawdopodobnie Mikołaj przebywając w gościnie, zaciąga się do chorągwi pancerniej czyli kozackiej rotmistrza Marka Gdeszyńskiego, słynnego zagończyka.

Dzieje się to w r. 1649. I od tego czasu nazwisko Skrzetuskiego spotyka się w aktach dość często. Więc najpierw przechodzi oblężenie Zbaraża, skąd przynosi królowi smutne wieści. Skolei obejmuje komendę nad Wołoszą, dzielnie się sprawując, jak o tem świadczy pismo z obozu królewskiego pod Sokalem z dn. 29 maja 1651.

Potem przez kilka lat cisza. Widocznie

Skrzetuski odpoczywa lub leczy się w ran otrzymanych.

Ale już w r. 1660 spotykamy go jako porucznika w lekkiej, „tatarskiej” chorągwi Czarnkowskiego, która wróciła do kraju po zwycięskiej wyprawie do Danji. W tejże samej chorągwi bierze następnie udział w walkach przeciw Moskwie.

W roku 1671 wraca w swe rodzinne strony. Nie na długo. Załatwia tam rozmaite sprawy osobiste, obrachunki, wreszcie sporządza swój testament, poczem śpieszy znów na Podole, służąc Ojczyźnie w tych ciężkich chwilach swym mieczem i głową. Urządza podjazdy, przywozi języka J. M. Panu Hetmanowi Wielkiemu Koronnemu, z polecenia hetmana Sobieskiego jedzie z posłowaniem aż na Dzikie Pola. I wszędzie odnosi sukcesy ten żołnierz wierny i dzielny, co jak sam mówi, „poświęcił się sprawom wojskowym i jak się dotychczas starał zasłużyć dla Ojczyzny, tak i nadal jej wysługiwać się będzie”.

Z początkiem roku 1673 Skrzetuski zajmuje się formowaniem chorągwi na wyprawę turecką. Tytułuje się rotmistrzem i obejmuje dowództwo nad chorągwią wielkopolską.

Ta to chorągiew brała udział w bitwie pod Chocimem 11 listopada 1673. Ale dowódca jej już wówczas prawdopodobnie nie żył. Egzekutor bowiem jego testamentu, Stanisław Skrzetuski, wnoszą dnia 24 października 1673 jego rozporządzenie ostatniej woli do aktów grodu poznańskiego.

Testament ten, to jeszcze jeden, niezbity dowód, że wszelkie wywody i „rewelacje” dr. Górki o Rusinie-schizmatyku nie wytrzymują ognia rzetelnej, rzeczowej krytyki.

Oto początek testamentu:

„Wybierając się w drogę obozową jako człek Rycerski, jeżeliby mi fata śmiertelności nazad się w te tu kraje powrócić niedopuszczyły, naprzód tym się przed wszystkim Niebem y ziemią protestuję, że w wierze Świętej Katolickiej Rzymskiej jedyny prawdziwej, w której jem się urodził, umrzeć chcę y pragnę”.

Z sum pieniężny... jakie miał Mikołaj Skrzetuski do żądania, znaczną część zapisał Karmelitom bosym w Poznaniu, u których pragnął być pochowanym.

Siostrze swej zatwierdził dawniejszą darowiznę swych działów w Rożnowie, zaś bratu stryjecznemu „strzelbę, srebro, szaty i ryszunki”.

Skrzetuski zmarł bezpotomnie. Nigdy bowiem nie stanął na ślubnym kobiercu, choć był moment, gdy serce — niemłodego już podówczas — wojaka zapłonęło gorącym afektem.

Było to z wiosną 1667 roku. Bawiąc w Bełskiem, w gościnie u swych krewnych, zakochał się w „cieplej wdowce”, Zofji z Brzezickiej Zawadzkiej. A widocznie niezbyt pewny wzajemności, poczyniła sobie iście po żołniersku. Jedzie „w konkury” na czele 27 konnych i zbrojnych przyjaciół i sług. Obsadza wszystkie wyjścia ze dworu, rozbraja i wiąże służbę. A kiedy jego wybranka próbowała ucieczki, towarzysz Skrzetuskiego łapią ją i przyłożywszy jej lufy pistoletów do głowy starali się nakłonić do złożenia przyrzeczenia małżeńskiego.

Nie obeszło się przy tem bez razów: jak wykazało późniejsze visum repertum miała p. Zawadzka sporo siniaków na rękach i na — biodrach. Wreszcie jednak, korzystając z zamieszania, zdołała się wyrwać i uciec, — a pan Skrzetuski odjechał jak niepyszny.

Pociągnęło to za sobą przykry proces ze skargą o najazd, gwałt i usiłowane porwanie szlachcianki — i ostatecznie zaoczny wyrok na infamję. Miało to jednak znaczenie czysto platoniczne, Skrzetuski bowiem jako żołnierz pozostawał pod jurysdykcją hetmańską.

Tego epizodu brak u Sienkiewicza i na tym jedynie punkcie możnaby przyznać poczęści rację dr. Górce.

Ale Sienkiewicz, jako powieściopisarz, mógł sobie pozwolić w dziele swem na pewne dodatki i fikcje, potrzebne mu dla ożywienia fabuły. Bądźco bądź jednak, samą postać Skrzetuskiego nakreślił wiernie, opierając się na dostępnych mu źródłach historycznych. I jak się okazuje z broszury dr. Lasockiego, znał ich i przestudjował więcej, niż dr. Górka, który niefortunną swą kampanję przegrał na całej linii.

(N.)

Indianin i bobry

Gdzie te czasy, kiedy czerwono-skórnicy wojownik tępił zwierzęta dzwicznych lasów i polował na skóry nienawistnych białych twarzy? Pomnikami ich pozostają jedynie tysiączne książki dla młodzieży. Rasa dawnych władców Ameryki wygasa, zarzucawszy dawne barbarzyńskie obyczaje i poddawszy się władzy białych...

Oto mam przed sobą książkę takiego Indianina, co zawarł pokój wieczysty ze zwierzyną, a od białych twarzy przyjął funkcję jej opiekuna. Autor „Pielgrzymów puszczy”. Ua-sza-kuon-asin długo był trapperem czyli myśliwcem, ale pokochał zwierzęta, szczególnie bobry, po barbarzyńsku tępione przez ludność Kanady, łakomą na ich futerka. Uczucie to dzieliła z nim żona Anahareo, Indianka czystej krwi i córka wodza, która popełniła megalans, wychodząc za Ua-sza-kuon-asina, bo ten ma przymieszkę krwi europejskiej. Imię jego oznacza „szarą sowę”, imię żony kucyka.

Małżeństwo to przypadkowo znalazło parę osieroconych małych bobrów i chowało je, jakby własne dzieci. Pewnego razu zwierzątko gdzieś zniknęło i wszelkie poszukiwania były daremne.

Wówczas Ua-sza-kuon-asin i Anahareo poprzysięgli sobie, że poświęcą się ochronie bobrów. Zadanie było ciężkie. Zdarzyło się, że mieli w domu troje zwierząt. Przybył w odwiedziny dawny znajomy i pozabijał wszystkie. Gdy biedni gospodarstwo wrócili, nie powiedzieli ani słowa. Byłoby to pogwałceniem starych praw indiańskiej gościnności. Ukrywając swą zgryzołę, pomagali gościowi ściągać skórki z bobrów — a serce im się krajało...

Stosunek między człowiekiem a bobrem, jak pisze Ua-sza-kuon-asin, w niczem nie przypomina stosunku między człowiekiem a koniem, psem czy kotem. Bóbr nie nauczy się nigdy posłuszeństwa, nie będzie naśladował ludzkich zwyczajów, nie odstąpi od swego trybu życia. Nie będzie też nigdy szanował różnych ludzkich wymysłów. Zostawiony sam w domu, zje nogi od stołu i zakaśli miotła. I niema go co karać, to nic nie pomoże. Pojęcia o tem, na co jest drzewo i gałązki, kształtowały się u tysięcy i tysięcy pokoleń bobrów, nikt ich nie wykorzeni. Bóbr chętnie zostanie przyjacielem człowieka, będzie mu towarzyszył, a że dużo sypia, najchętniej zasypiał w jego objęciach. Ale wtedy przyzwyczaił się do łóżka i z pew-

nością położył się na niem, gdy ociekając wodą, wróci z wycieczki do stawu. A jeżeli go chcesz bić, to kaś. Nie uznaj nigdy nierówności między sobą a człowiekiem, za przykrość płaci przykrością.

Ua-sza-kuon-asin jest człowiekiem nie bez wykształcenia. Na wstępie swej książki umieszcza motto z Walta Whitmana i pisze wcale dobrą angielszczyznę. Wspomina zresztą, że uczył się jej powoli i w pocie czoła. Doszedł jednak do tego, że wygłaszał publiczne odczyty o życiu ukochanych zwierząt. Gdy próbował tego po raz pierwszy, czuł jakieś wewnętrzne zimno. „Jakby wąż, który połknął sopel lodu”.

Obecnie jest Ua-sza-kuon-asin rodzajem urzędnika. Rząd kanadyjski zrobił go strażnikiem jednego z tamtejszych parków narodowych, a oboje z żoną zajmują się przedewszystkiem bobrami, których liczba również wzrasta. A. E.



Chcesz odbyć podróż tanie - szybko - wygodnie? Leć samolotem!

¹⁾ Zygmunt Lasocki: Czy Skrzetuski był kozakiem? (Kraków 1935, nakładem autora.)

Ciekawostki szwajcarskie

Co kraj, to obyczaj. Człowiek żyty z zwyczajami na terenie własnego kraju, obserwuje z zajęciem wszelkie nieznanne przejawy na obczyźnie. W Szwajcarii jest ich specjalnie dużo i odrębnych.

Fakt wielkiej uczciwości i sumiennosci Szwajcarów znany jest szeroko i nie zalicza się do niezwykłości. Kuferki czy jakiegokolwiek przedmioty można zostawić na peronie, w poczekalni czy na ulicy zupełnie spokojnie, po kilku godzinach zostanie się je nietknięte. Podróż pociągiem, tramwajem czy statkiem jest do możliwych granic uwygodniona. Na dworzec i każdy peron wolno wejść zawsze bez peronówki, biletów nie kontroluje się ani przy wejściu, ani wyjściu, dopiero raz jeden w pociągu konduktor ogląda je i odbiera przed stacją przeznaczenia. Czystość pociągów tak pospiesznych jak osobowych podmiejskich jest wzorowa. Szyby błyszczące, Inoleum podłóg lśniące, umywalnie nie tylko z wodą, ręcznikami, lustrami, i mydłem, ale nawet na niektórych linjach z ciepłą wodą, która płynie ze zgrabnego kureczka! W przedziałach fotografie, piśma ilustrowane, reprodukcje uzdrowisk.

Swoboda stosowana jest nie tylko do ludzi ale i do zwierząt. Piękny ogród zoologiczny na Zürichbergu trzyma zwierzęta prawie na swobodzie, za wyjątkiem zimy, kiedy muszą być w klatkach. Poza to otoczone są one tylko głębokim otworem z wodą i wśród lasów chodzą sobie wolno. Okazy lwów i tygrysów są tam wyjątkowo wspaniałe a akwarjum z przepięknie urządzonej dnem morskim, z masą ryb, meduz, żółwi, oryginalnie oświetlone i „zadrzewione” roślinami wodnymi, — buczą ogólny podziw, natomiast krokodyle, też rzadki stosunkowo w zoo nabytek, napelniają widzów przerażeniem i obrzydzeniem.

Z jedzeniem jest tutaj odwrotnie jak w Polsce: je się nie po trochu a często (pięć razy dziennie), ale rzadko a dużo. Zwłaszcza Szwajcaria francuska a na jej czele Genewa objada się poprostu. Najskromniejszy obiad składa się z czterech dań: więc po zupie przychodzi ryba, omlety, lub paszteciki, potem drób czy pieczeń i legumina, paradna zawsze, względnie klosz owoców albo jedno i drugie. Przy droższych menu podają zwykle przed zupą szereg pikantnych i bardzo smacznych przystawek, jak rydziki, sardynki, pikle, sery, pomidory, sałatki. Sałaty obowiązkowe przy każdym mięsie; są one tu bardzo smaczne, w najrozmaitszych gatunkach. Na deser prócz owoców dają orzechy i migdały, co razem smakuje nadzwyczajnie. Piwo i wino nie należy wprawdzie do obiadu, ale wypada je pić koniecznie. Gdy kiedyś kazałam sobie podać wody, kelnerka wypatrzyła się na mnie jak na warjata.

Kina szwajcarskie „urzędują” późno, nie spieszą się. Najpopularniejsze jest chodzenie na program wieczorny. Zaczyna się on o godzinie 1/2 do 9-tej. Najpierw przez pół godziny wyświetlają bardzo pomysłowe reklamy. Potem idzie szereg komedijek, grotesek rysunkowych, zapowiedzi nowych filmów i t. d. Nareszcie około 10-tej zaczyna się właściwy program. W połowie dramatu jest przerwa i widzowie emigrują na pół godziny do bufetu kinowego, gdzie popija się herbatę czy kawę.

Byłam świeżo w najlepszym kinie Genewy „Rialto”. Jest to nie kino, ale prześlizgnięty luksusowy teatrzyk, urządzony wprost z przepychem, pełen palm

w kuluarach, kolorowych świateł, parterów i półpięter. Bufet wyłożony różowymi tapetami i zastawiony miłutkimi różowymi i szarymi stoliczkami, jest słodką cukiernką, gdzie z rozkoszą spędza się owe pół godziny na kawie i rozmowie. Wszędzie rozbrzmiewa prawdziwie piękny akcent francuski, a służba jest nie tylko uprzejma i wytresowana wspaniale, ale ubrana w galowe jakieś uniformy.

Po owej koniecznej przerwie ciągnie się druga część filmu do godziny 1/2 12-tej w nocy. Nie każdy ma tyle czasu i cierpliwości, by odsiedzieć taki trzygodzinny program. Jeżeli jednak ma ochotę, to odbędzie prawdziwie wytworną sesję. Panie stroją się specjalnie jak do teatru, a koło północy czekają przed Rialto luksusowe limuzyny.

Kantony niemieckie, francuskie i włoskie to jakby trzy odrębne państwa w jednym, różniące się nie tylko językiem, ale i wyglądem i zwyczajami. Typy n. p. Zürichu, Berna czy Genewy są zupełnie odrębne, typy tak ludzi, jak pojazdów, ulic, sklepów. Jednakże są tylko pociągi, zawsze śmiesznie punktualne, rozpędzone i

czyściutkie. Napisy, oznaczające perony, czasy odejścia pociągów i t. d. są tak ogromne, tak wyraźne, że nigdy pytać się o nic nie potrzeba.

Sport zimowy jest ogólnie i szeroko propagowany. Nie wolno, by n. p. ubogie dzieci, pragnące i mogące jeździć na nartach, nie posiadały sprzętu narciarskiego. Ponieważ jednak do całości potrzeba jeszcze i butów i ubrania, istnieją specjalne komitety, zajmujące się rozdawaniem między niezamożne dzieci i młodzież wszystkich potrzebnych do sportów zimowych akcesoriów. Rząd szwajcarski pragnie, by wszyscy obywatele cieszyli się radościami zimy i by najubożsi nie byli przez los pokrzywdzeni.

Wobec tak humanitarnych zasad, nie widuje się zupełnie w Szwajcarii dziańców, żebraków, kalek.

Na rogach ulic nie wystawiają żebrzące dzieci, matki z niemowlętami i starcy, co u nas tak przykre robi wrażenie. Po dworcach nie włóczą się obdartusy i bezdomni, których przepędzać musi policja. Ta wszyscy ci biedacy mają swoje domy, odpowiednie pomieszczenia, szpitale i ochronki. Bezrobotnym

dobrze się dzieje w zamożnej Szwajcarii. Dostają 8 franków dziennie (14 złotych) i mogą cierpliwie i spokojnie szukać pracy.

Ciekawy zwyczaj zaprowadzono obecnie w górach. Ponieważ tak zimą jak latem wydarza się w Alpach wiele katastrof na ścianach, graniach czy wskutek lawin — nad pewnymi grupami górskimi, zwłaszcza gdy wiadomo, że wyruszyła poważniejsza wyprawa, — krąży nisko aeroplany, lornetujące ściany i granie. W razie wypadku, złej pogody, czy zaślubienia turystów, aeroplany natychmiast dają znać pogotowiu ratunkowemu. Jedni twierdzą, że jest to bardzo miły zwyczaj i że na najstraszniejszych ścianach czują się pod opieką, — inni mówią, że nie potrafią iść w górskie pustkowia, by nawet tam być pod obserwacją i kontrolą. Jakiśkolwiek są zdania, fakt ten świadczy jednak o prawdziwej trosce i turystów.

Te i inne ciekawe szczegóły zaraz na wstępie nasuwają się obcemu przybyszowi, który może snuć z nich różne wnioski, a nieraz i dobre przykłady dla swoich.

Zürich, w styczniu.

Marja Sandoz.

Cztery grupy krwi ludzkiej

Jedną z nowszych stosunkowo zdobyczy medycyny jest transfuzja krwi, stosowana z doskonałym wynikiem w niektórych chorobach oraz w wypadkach silnych krwiotoków.

Proceder ten znany był już w XVII wieku, następnie jednak został zarzucony, a w niektórych państwach nawet wręcz zakazany. Gdy bowiem w jednych wypadkach dzięki transfuzji krwi udawało się uratować życie ludzkie, — to w innych zabieg ten spowodował szybką i nieuniknioną śmierć.

Sprawa cała postawiona została we właściwym świetle dopiero z chwilą, gdy uczeni zabrali się do porównywania krwi poszczególnych osób i badania jej właściwości.

Pokazało się, że całą ludzkość można podzielić na cztery grupy, różniące się między sobą bardzo wyraźnie pod względem reakcji ich krwi. Różnice te idą tak daleko, że wprowadzenie do krwiobiegu człowieka należącego do jednej grupy, — krwi innej grupy może mieć skutek śmiertelny.

Śmierć następuje z tego powodu, iż czerwone ciała krwi ulegają aglutynacji pod wpływem surowicy krwi innego człowieka, co pociąga za sobą

tworzenie się zatorów w naczyniach krwionośnych.

Jak wykazały badania, w ciałkach krwi znajduje się specjalna substancja zwana „aglutyniną” i jej to właśnie przypisać należy to specyficzne działanie. Co więcej, istnieje aglutynina w dwojakiej postaci, jako aglutynina „A” i aglutynina „B”.

To właśnie stanowi podstawę do podziału całej ludzkości na cztery grupy, o których wyżej mówiliśmy. Są to mianowicie grupy:

- 1) grupa O, do której należą ludzie o krwi wolnej zupełnie od aglutyniny,
- 2) grupa A, ludzie, których krew zawiera aglutyninę A,
- 3) grupa B, ludzie, których krew posiada aglutyninę B, — i wreszcie
- 4) grupa AB, ludzie, w których krwi znajduje się zarówno aglutynina A jak i B.

Znajomość tych faktów pozwala dziś przeprowadzać transfuzje krwi bez najmniejszego ryzyka: próba krwi upewni nas każdorazowo, czy dawca krwi i pacjent należą do tej samej grupy i czy zabieg jest dopuszczalny.

Badania te, przeprowadzane przez uczonych na obu półkulach, dały bardzo interesujące wyniki i w innym kierunku.

Pokazało się mianowicie, że ten podział na cztery grupy nie ma nic wspólnego z podziałem ludzkości na rozmaite rasy. Zarówno w rasie białej, jak żółtej czy czarnej znaleźć można przedstawicieli wszystkich czterech grup. Dowodzi to, iż niema na całej kuli ziemskiej żadnej rasy absolutnie czystej, co zwłaszcza w Europie występuje w bardzo silnym stopniu.

Gdybyśmy chcieli szukać przedstawicieli ras zupełnie czystych, — trzeba by nam iść w głąbie puszczy Ameryki, Indji holenderskich lub Filipin. Tamtejsi tubylcy, którzy dotychczas nie zetknęli się z cywilizacją i żyją w zupełnym odosobnieniu, należą wszyscy bez wyjątku do grupy O.

Ale przedstawicieli tej grupy znajdziemy też i w innych częściach świata, i to w dość dużym stosunku.

Grupa A zdaje się przeważać wśród mieszkańców Europy zachodniej. Z faktu tego próbowano nawet ukuć argument co do rzekomej wyższości rasowej tych krajów. Argument ten upadł jednak z chwilą, gdy stwierdzono występowanie grupy A u niektórych prymitywnych mieszkańców Australji.

Grupa B występuje najsilniej w rasie żółtej, co jednak nie wyklucza, że przedstawicieli tej grupy znaleźć można i wśród rozmaitych narodów europejskich.

Wreszcie zaznaczyć należy, że przynależność do takiej czy innej grupy stanowi niezmienna cecha każdego człowieka przez całe jego życie.

Co więcej, jest to cecha poniekąd dziedziczna: dziecko, wykazujące we krwi oglutyninę A lub B, musiało ją odziedziczyć po ojcu lub matce.

Fakt ten posiada duże, a decydujące znaczenie w procesach, gdzie idzie o stwierdzenie ojcostwa, a tego rodzaju dowód dopuszczalny jest w niektórych państwach, jak Sowiety, Włochy, Niemcy.

Jak z powyższego wynika, podział ludzkości na cztery grupy wedle składu krwi posiada duże znaczenie nie tylko dla lekarza, ale i dla prawnika i dla badacza historii ludzkości. (r.)

„Ziemia jest płaska!”

Anglia jest pełna oryginałów, którzy nieraz całe życie poświęcają jakiejś pseudonaukowej teorii, głosząc ją ustawicznie, urządzając w tym celu zebrań, pisząc książki dla jej udowodnienia i wydając na ten cel nieraz całe majątki. Są ludzie, twierdzący, że Anglicy pochodzą od zaginionych dziesięciu pokoleń żydowskich; co pewien czas pojawiają się niby - uczeni, dowodzący, że dzieła Szekspira napisał lord Bacon, lord Rutland, lord Oxford czy któryś inny arystokrata współczesny; kwadratura koła i perpetuum mobile mają swoich wiernych adeptów; niebrak i takich, co święcie wierzą, że ziemia nie jest okrągła, lecz płaska.

W latach osmdziesiątych zeszłego wieku głosił to niejaki William Hampden i zrujnował się kompletnie na pro-

pagandę antykopernikowskich teorii. W r. 1905 reprezentowała jego pogląd lady Blount. Urządziła ona w Exeter Hall wiec, na którym dowodziła, że ziemia nie może być okrągłą, bo przecież ludzie na drugiej półkuli chodziliby do góry nogami. „Jeżeli w Antypodach mieszkańcy wiszą głową nadół, to dlaczego nie wiszą tak samo, gdy przyjadą do Londynu?”

Rodzina, w której wiara w płaskość ziemi przechodzi z pokolenia w pokolenie, był dom Edgellów. Przed paru tygodniami zmarł William Edgell. W testamentem napisał, że „staraj się przez pięćdziesiąt lat swego życia pozostać wiernym przysiędze, złożonej ojcu, gdy ten leżał na łożu śmierci, że to udowodni”.

W. T.

Książę poetów we fioletach

(w 200-rocznicę urodzin Ign. Krasickiego)

W ziemi sanockiej, w rodowym majątku hr. Krasickich, Dubiecku, urodził się przysły biskup warmiński. Z domu, w którym przechowywano troskliwie tradycje świetnej przeszłości, wyniósł na drogę życia zdrowie fizyczne i moralne, dzięki światłemu kierownictwu matki, pani kasztelanowej, o której — po jej śmierci — ze wzruszającą prostotą pisał bratu, że „bardziej się podobno do niej, niż za nią modlić należy“.

Zgodnie z wolą rodziny został księdzem. Dzięki możliwym i wpływowym protektorom, zdobywa szybko godność duchowne.

Już jako kanonik wyjeżdża w r. 1758 do Rzymu dla uzupełnienia studiów. Trzyletni pobyt w Wiecznym Mieście przyczynił się też znacznie zarówno do pogłębienia jego wiedzy, jak i do wyrobienia w młodym kanoniku owej oglądy towarzyskiej i szlacheckiej wytworności, którymi czarował wszystkich, od „króla Stasia“ począwszy.

Jemu też zawdzięcza Krasicki w służbie mierze dalszą swą, świetną karierę. W roku 1765 zostaje mianowany prezydentem Trybunału małopolskiego w Lublinie i we Lwowie. Już w następnym roku zostaje księciem biskupem warmińskim i senatorem Rzpltej. Z tą chwilą stanął Krasicki w rzedzie pierwszych dostojników w Polsce.

Stanisław August zawiódł się jednak trochę na swym protektorze: Krasicki, wbrew oczekiwaniom króla, nie stanął na czele stronnictwa królewskiego, nie chciał mieszać się do życia publicznego. Wolał pozostać na uboczu, w roli wida, obserwatora, a poniekąd i mentora.

Przyszedł I rozbiór Polski. Warmja przeszła do Prus, a Krasicki został poddany Fryderyka II. Przenosi się do swej rezydencji w Heilsbergu, z nowym swym władcą utrzymuje stosunki dość nawet zażyłe. Nie raziło to zbytnio w tych czasach, gdy niemal przykazaniem „mody“ były zażyłe stosunki głów ukoronowanych z uczonymi, filozofami i artystami. Nie można też robić poważniejszego zarzutu Krasickiemu za jego wizyty u koronowanego wolterjanina w Sanssouci.

Bo równocześnie książę biskup, który dotychczas uważał literaturę raczej za rozrywkę i zabawę, zaczyna poważną pracę, ożywiona duchem gorącego umiłowania Ojczyzny.

Pierwszą niejako oficjalną legitymacją na tem polu jest słynny wiersz: „Święta miłości kochanej Ojczyzny“, drukowany po raz pierwszy w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ w roku 1774, a zaopatrzone podpisem X. B. W.

Wiersz, niestety popularny w całym kraju, czytany codnia w Korpusie Kadetów, stał się niemal rodzajem hymnu narodowego.

Nie był to jednak pierwszy występ literacki księcia biskupa.

Już od roku 1765 zamieszcza Krasicki bezimiennie (jak zresztą i wszyscy inni współpracownicy) artykuły swoje w „Monitorze“, czasopiśmie, omawiającem — wedle ustalonego programu — zagadnienia z dziedziny „nauki, obyczajności i moralności“. Porusza w artykułach swych najrozmaitsze tematy: stosunek człowieka do Boga, zalety wierności, wstrzemięźliwości, — wytyka wady i śmieszności ludzkie. W tem ostatniem wyczuwa się już twój pazur przyszłego autora Satyr i Bajek.

Zasila też swymi utworami drugie czasopismo „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne“, wychodzące od r. 1770 do 1777, wzorowane po części na angielskich „czasopismach moralnych“.

W międzyczasie urządza sobie książę biskup wesole figle z literaturą, by dać folę swym upodobaniom: podchwytliwym śmieszności i błędów ludzkich, parodjowania napuszystego stylu czasów saskich, rozśmieszania czytelnika.

Z tego okresu czasu datują się wydane w r. 1775 „Myszeidos pieśni dzieśniej“ późniejsza o trzy lata „Monachomachja“, oraz „Antymonachomachja“.

Prawdziwym mistrzem jednak okazał się Krasicki dopiero w „Satyrach“ oraz w „Bajkach i przypowieściach“, opublikowanych w r. 1779.

„Satyry“ znakomite w konstrukcji, pisane jasnym, jędrnym językiem, należą do arcydzieł literatury polskiej w tej dziedzinie. Jakaż w nich różnorodność typów! Jak świetny chwyt pisarski, dla skreślenia w paru wierszach sytuacji, jaka pyszna pointa, ile w nich zdrowego humoru i wytworzonej ironji!

Chłosta w nich Krasicki wszystkie przywary ówczesnego społeczeństwa: pijaństwo, marnotrawstwo, chciwość, pochlebstwo... Wady to ogólnoludzkie tem większa zatem i trwalsza jest wartość tych utworów. Ale większość typów ma cechy wyraźnie narodowe, podobnie jak polskiem jest i tło, na którym one występują.

Satyry Krasickiego, to potężny głos ostrzegawczy, nawołujący do poprawy całego narodu głos płynący z serca, przepojonego miłością Ojczyzny i etyką chrześcijańską.

Nie ustępują Satyrom i „Bajki“. Historycy literatury zarzucają, że w utworach tych wzorował się Krasicki na bajkach całego szeregu obcych pisarzy, od Ezopa począwszy, aż do Lafontaine'a. To prawda: tematy powtarzają się niejednokrotnie, nawet dość często, co zresztą obserwować można u innych także bajkopisarzy.

Ale Krasicki umiał sam zasadniczy temat przerobić zawsze tak artystycznie, iż powstawała rzecz naprawdę zupełnie oryginalna.

Przedewszystkiem pod względem

Z „Myśli różnych“ Ign. Krasickiego

Kiedy Stanisława Leszczyńskiego powtórnie królem obrać miano, a prymas Potocki przyjaźni francuskiej dla narodu obszernie wywodził, rzekł Humiecki, wojewoda podolski: „Zróbmy most ponad Niemce, a dobrze nam będzie z Francuzami“.

Niemasz nic nudniejszego na świecie nad niezłe wiersze

Ból im bardziej zasłużony, tem srożej dotyka.

Salomon powiedział: trzy rzeczy są mi ciężkie do zrozumienia, a czwartej wcale pojąć nie mogę, — ale też za jego czasów nie było licencjatów filozofji, bakałarzów św. teologii i doktorów obojga prawa.

Przyjść do powątpiewania o nieśmiertelności jest największą dolegliwością, w którą człowiek wpaść może. W jednym tylko razie myśl taka może być ulgą, iż od przyszłego nieszczęścia ocala, ale mieć to za ulgę już jest nieszczęściem.

„Piękna wyspa“ na Pacyfiku

„Pięknej wyspie“ — jak ją nazwali żeglarze portugalscy, którzy koło roku 1600 pierwsi na niej wylądowali, — niewiele się u nas wie i mówi. Pamiętamy ją może z historii awanturniczych wypraw Beniowskiego, który w roku 1771 zawinął do zachodnich brzegów Formozy i usadowił się tam na pewien czas jako udziałny władca.

Przechodziła Formoza zmienne losu koleje. Odkryta przez Portugalczyków dostaje się wkrótce pod władzę Hiszpanów, którzy z kolei po długich i zaciętych walkach zmuszeni byli ustąpić miejsca nowym panom wyspy, Holendrom.

W roku 1662 wybuchła groźne powstanie krajowców, na których czele stał odważny i dzielny bohater narodowy, Koxinga, chiński generał, syn pirata - Chińczyka i Japonki. Mały garnizon holenderski, zamknięty we fortecy Zeelandia, broni się bohatercko, odpierając ataki 50-krotnie silniejszego wroga. Wreszcie jednak, pozbawiony żywności i wody, zmuszony jest kapitulować.

Koxinga zostaje proklamowany królem, organizuje armię i flotę, poczynając sobie zuchwale, nakładając nawet roczny haracz na wyspy Filipińskie, okupowane wówczas przez Hiszpanów.

Po jego śmierci wyspa przechodzi wkrótce pod władzę Chin. Jest to okres zupełnego upadku. Staje się rajem dla rozmaitych korsarzy i awanturników. Okręt, który rozbił się u wybrzeży Formozy, padał bezapelacyjnie ofiarą okrutnych tubylców, którzy rabowali ładunek okrętowy, a wszystkim białym ucinali głowy.

Okoliczność tę próbowały wyzyskać Stany Zjednoczone i Anglja, wnosząc energiczne protesty do rządu chińskiego i grożąc okupacją wyspy. Ale w myśl przysłowia „gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta“, — tę rywalizację Anglii i Ameryki wyzyskała sprytnie... Japonia.

W roku 1873 organizuje Japonia ekspedycję karną na Formozę, z racji zrabowania przez piratów japońskiego okrętu. Nie miała jednak jeszcze odwagi okupować wyspy — wobec wrogiego stanowiska Anglii i Ameryki. Dopiero po wojnie chińsko - japońskiej, w roku 1894 w myśl traktatu pokojowego Formoza przechodzi pod władzę Japonji, stając się częścią składową cesarstwa.

Wyspa, obszarem swym większa od Holandji, jest stosunkowo słabo zaludniona. Na ogólną liczbę około 4 milionów mieszkańców jest zaledwie 180 tysięcy Japończyków i paręset Europejczyków. Reszta, to Chińczycy, którzy wyemigrowali tam w ciągu ostatnich dwustu lat, — oraz jakieś 80 tysięcy krajowców, kryjących się w niedostępnych górach i lasach.

Spośród mieszkańców wyspy większość wyznaje buddaizm i szintoizm. Misje katolickie, istniejące na Formozie od r. 1627 nie mogą wykazać się wielkimi rezultatami swej pracy.

Dla Japonji, cierpiącej oddawna na przeludnienie, przedstawia Formoza ogromną wartość, jako znakomity teren kolonizacyjny.

Posiada też Formoza bogate skarby naturalne. Przedewszystkiem ogromne,

formy i konstrukcji. Najlepsze jego bajki liczą zaledwie cztery lub ośm wierszy. Dzięki temu nabierają one niestychanej zwięzłości. Styl staje się jasny, prosty, — niema tam ani jednego słówka za wiele. Króciutka ekspozycja z znaczeniem głównych figur, akcja żywa, wiedzie do rozwiązania, które często ma charakter dramatyczny.

Słusznie też nazwano bajki Krasickiego miniaturowymi dramata lub komedjami.

Oczywiście każda bajka ma swój morał, wpływający naturalnie, ze samej treści. Jak to trafnie określa prof. K. Wojciechowski „nauki płynące z tych bajek dałyby się ułożyć w katechizm życiowy. A kto by chciał żyć wedle tego katechizmu, nie zostałby ani świętym, ani sławnym, ale byłby człowiekiem uczciwym, wolnym od śmieszności... pamiętałby, że wokół niego pełno lisów i wilków“.

Bajki Krasickiego wzbogaciły znakomicie skarbiec naszej literatury i do dziś dnia nie straciły nic ani ze swej piękności, ani z wartości dydaktycznej, ani z aktualności.

W innych utworach poetyckich Krasicki ani w przybliżeniu nie osiągnął podobnego sukcesu. Ani w „Listach“, ani w „Wojnie chocimskiej“, będącej nieudaną próbą stworzenia bohaterkiej eposy.

Bo jest on par excellence mistrzem miniatyry, na większe, poważniejsze kompozycje brak mu tchu, brak szerszego spojrzenia i daru koncentracji.

Natomiast jest niezrównanym jako wykwinny humorysta. Z łagodnym, ironicznym uśmiechem obserwuje ułomności ludzkie. Rejestruje je bez zgrzytliwości, nie siląc się nigdy na styl wyszukany. A pozostaje zawsze esteta, który całą swą wiedzę i talent oddał w służbę narodu, wierny wypowiedzianemu przez siebie hasłu:

„Padnie słaby i leże, wzmoże się wspaniały“.

(kr.)